

WCHŁONIĘTY

JERZY SZCZEPKOWSKI

WCHŁONIĘTY
TOBIASZ SZPETT
I JEGO ŚLEPY KSIĄŻĘ



Warszawa 2024

Copyright © by Jerzy Szczepkowski
Copyright to this edition © by Wydawnictwo Prohibita

ISBN:
978-83-67453-21-9

Koncepcja artystyczna okładki:
Jerzy Szczepkowski

Na okładce książki wykorzystano fragment tryptyku
Hieronima Boscha pt. *Ogród rozkoszy ziemskich*.

Opracowanie graficzne okładki:
Anna Słapek

Wydawca:
Wydawnictwo PROHIBITA
Paweł Tobała-Pertkiewicz
www.prohibita.pl
wydawnictwo@prohibita.pl
Tel: 22 425 66 68
www.facebook.com/WydawnictwoProhibita

Sprzedaż książki w Internecie:

multibook.pl
KSIEGARNIA INNA NIŻ WSZYSTKIE

Autorowi budującej powiastki
o szlachetnym Małym Księciu
panu Antoine de Saint-Exupéry
niniejszy tekst dedykuję.

ROZDZIAŁ 1

Jestem odrażający – wiem to z całą pewnością, mimo, że od siedmiu lat nie widziałem swego odbicia. W świecie, który stworzyłem, nie ma luster, chociaż to właśnie lustra odgradzają mnie od waszego świata. Tkwią osadzone w zamkowych ścianach – są nader kunsztowne, a przy tem jakże masywne, odlane w Karlsbadzie z trzycalowego kryształu, którego nie przebije kula z rewolweru, ani wrzask histerycznej baby. Luster jest szesnaście. Ich srebrzysta powłoka odbija świat waszej strony, zaś ja jestem po mojej stronie, mnie lustra nie dotyczą – ponieważ rzecz jasna – gdyż to właśnie brak mego odbicia rysuje na nich dramat waszego świata. W holu wejściowym osadziłem dwa lustra równo na wprost siebie. Tworzą one tunel odbić bez końca. Lecz gdy chcesz go zobaczyć musisz zawsze ujrzeć się w środku tunelu. Ale nie ja – gdy spoglądam z mojej czarnej kryjówki widzę tunel pusty, bez mego odbicia, bo wyszedłem z waszego dramatu poza ciągi przeznaczeń. Mówiąc ściślej uciekłem przed wielkim tasakiem. Jestem w doczesności elementem dodanym, muszę stać bezgłośnie, niepojmowalnie wręcz z boku, aby nie popsuć niczego w księgach waszych losów.

Prócz milczących obrazów, z tym tak zwanym zewnętrznym światem łączy mnie jeszcze dziwaczny blask, prześwitujący co rano z głębin podziemnego jeziora, w którym łowią atlan-

tyckie ryby, no i ów plugawy otwór w kuchennej ścianie, przez który wymykam się z rzadka by ukraść parę butelek piwa. Przyśięgam – nic ponadto. Do zrywania kapsli używam wytartej dwucentówki, którą od zawsze noszę w kieszeni kamizelki – jest moim jedynym pieniądzem i musi mi starczyć do końca życia. Dużo banknotów utopiłem w podziemnym jeziorze – były całkiem nowe – pod palcami czuło się ich dziewiczą śliskość, jak świeżo odpakowanych kart. Nie chłonęły wody i długo unosiły się na stojącej tafli. Niektóre z nich przyplływ wyrzucał na skały, inne – po latach – wypływały kostropate, napęczniałe solą – te były jak zwłoki po miesiącach gnicia. Przy porannym blasku darłem je równo i na powrót ciskałem do wody.

Z czasem zacząłem topić pieniądze w paczkach, po sto tysięcy, przewiązanych gumką albo dwiema gumkami. Na dnie jeziora zebrał się pokaźny kapitał dla nimf podwodnych i topielców. Na głębokości kilkunastu metrów jezioro łączy się skalnym tunelem z wodami Atlantyku. Być może jakaś paczka prześliznie się na Ocean, a wtedy – co przecież jest możliwe – wyłowi ją któryś z rybaków, weźmie do ręki i powie „chole-
ra”, łypnie na kolegów spode łba i szybko schowa za połę. Jeśli nie będzie pijakiem postawi dom, zaś córce kupi naszyjnik gruby jak obroza. Potem wyda ją za męża, a gdy rozjadą się weselnicy zamknie pieniądze w skrzyni, a klucz ukryje w cukrze. Rodzina dalej żreć będzie kluski i gasić lampy tuż po zmroku. Jeśli zaś będzie pijakiem pogna z pieniędzmi do knajpy gdzie schła się na umór triumfalnie, u progu nowego życia. Wcześniej odzyska wiarę straconą w którejs z delirek, a wtedy dadzą mu w łeb i pieniądze zabiorą.

Ale po co mówić o pieniądzach: nie mam ich i tyle – oczywiście prócz dwucentówki. Czasem, kiedy podważam nią kapsel, moneta ześlizguje się po szkle i krawędź zębatego kapsla rani

mój wskazujący palec – zawsze w tym samym miejscu i zawsze kiedy się spieszę. Jeśli więc otwieracie piwo maleńką cienką monetą – pamiętajcie – nie róbcie tego raptownie bo jak nic skaleczycie się w palec.

Jestem odrażający i bękarci jest mój rodowód – to wiem na pewno. Mój ojciec z portretu – ten uderzająco przystojny baron Zygfryd von Szpett – rzecz jasna mym ojcem nie jest. Był starym libertynem bezpłodnym skutkiem wenery. Także moja córka Miriam nie jest moją córką. Zmajstrował ją lokaj Helmut Krocinger, płaskogęby i bezdennie głupi, choć muszę mu to oddać – świetny w tych sprawach. Och, z jakąż furią potrafi wbijać się w ciało mojej żony, jak konwulsyjnie drgają ich pośladki kiedy toczą się po dywanie wydając krótkie krzyki, których nie słyszę gdyż lustra czynią mnie głuchym. Tak naprawdę widok ich rozpustnych zmagani nie robi dziś na mnie żadnego wrażenia; siedzę sobie spokojnie z butelką piwa i patrzę jak na film sprzed ćwierćwiecza. Moja żona Luisa jest już stara, ma małe obwisłe piersi i brzuch zryty fałdami. Zaś on bywa piękny – zwłaszcza z profilu, ale z przodu wygląda jak zwykły kretyn; jego twarz jest nieruchoma i nic nie wyraża, a do tego płaska, jakby walnięta na odlew potężną patelnią.

Ale co tam lokaj, przecież to ja jestem wybrańcem głupoty i niedorobienia – urodziłem się że tak powiem w parszywej godzinie i pod podłg gwiazdą, bez wątpienia bez udziału mojego pięknego ojca – łobuza. Tolouse-Lautrec wygląda przy mnie jak Apollo, z drugiej strony są przecież sprawy, którymi mogę was zdziwić. Powiedzcie mi na przykład skąd biorę słodką wodę i jak smażę ryby – ot dwa proste pytania... W końcu to drobiazgi. Przejdźmy do kwestii głównej – powiedzcie mi co jest w człowieku... po co pytać – nie wiecie! A ja poznałem to coś i przechytryłem; poszło mi łatwo bo to coś jest głupie... To po

prostu mały debil!.. Jest głupszy od człowieka, a mądrzejszy od psa. I powiem wam coś w zaufaniu: ten mój mały wewnętrzny debil po swojemu zwariował. I kiedy moja wola doszczętnie wygniła zrobił się groźny i dziki... powiem więcej – morderczo niebezpieczny! Umknąłem przed nim w ostatniej chwili w ten świat bez uczuć, dążeń i celów, w którym jego władza stała się bez sensu jak kompas na spalonym statku.

Siedzi teraz w ciemnicy bezsilnie szczerząc zęby. Umieramy osobno – każdy po swojemu.

*

Pozwólcie, że opiszę wam moją kryjówkę – przemyślałem ją bardzo starannie. Wejście do niej prowadzi ze starej kuchni przez ciasne blaszane drzwiczki ukryte za paleniskiem, zawalonym stertą garnków i lepkich patelni. W czasach, gdy byłem panem na zamku, kazałem w sąsiedniej, przestronniejszej izbie, urządzić kuchnię nową; odtąd w starej nikt nie pali – trzyma się tam płaty suszonej słoniny, wódkę i skrzynki z piwem. Ogólnie jest tu plugawo, tak iż nawet muchy pozdychały z brudu. Chwała Bogu, że po moim zniknięciu nie zmieniono zwyczajów – dzięki temu mam piwo... wódki nie piję.

Blaszanych drzwiczek nikt nie otwiera, bo niby po co? W zamku wie się, że jest za nimi brudna ciemność; dalej, wie się, że w tej ciemności sto czterdzieści spiralnych stopni prowadzi w dół do nieprzewietrzanych lochów, a któż by miał ochotę włązić w zatęchłą czeluść, gdzie nie ma nic prócz szcurów i smrodu. Uwierzcie mi – ja miałem; przez wiele miesięcy przemierzałem kręte trzewia lochów – znam ich rozległość i sekrety, których nie zdradzę nikomu – nawet na torturach. Lochy są opoką mojej duszy i innym wstęp tam

wzbroniony, słyszycie – wara! Skręcę kark każdemu kto zej-
dzie po schodach!

Muszę, wszakże zdradzić, iż jeden z korytarzy wykułem
własnoręcznie w skale twardszej niż beton. Tunel ten wiedzie
do grotty, w której jest jezioro. Mówiłem już o jeziorze – ma
sześćset stóp średnicy i niepojętą głębokość. Podwodny tunel
łączy je z Atlantykiem; podczas odpływu woda ustępując zоста-
wia misy kałuż, w których trzepoczą się ryby. Atlantyckie ryby
są mdłe, zwłaszcza, że jem je bez soli, a z tego nawet mój pot
stracił sól i cuchnie rozkładem. Od siedmiu lat nie jadłem
żadnej jarzyny i może przez to trochę gniję, chociaż zęby mam
ciągle zdrowe.

Tyle o lochu, chociaż swoją drogą, korci mnie by coś jeszcze
dorzucić na deser... Więc jest tam dziwna podziemna galeria,
a raczej długi korytarz oflankowany dwoma rzędami półkolumn.
Między nimi wydrążono nisze z kamiennymi ławkami... Na każ-
dej ktoś siedzi przykuty parą łańcuchów... Jakże kapryśnie ob-
szedł się czas z instrumentami ich ciał: jedni rozpadli się w kupki
kości, inni zastygli wyprostowani, jak beczasowi mędracy wpa-
trzeni w otchłań parami zeschniętych oczu... Basta, nic już nie
powiem. I nie myślcie, że zdradziłem cokolwiek z sekretów pod-
ziemi: toż to nawet nie ich przedsiónek. Podziemia są po to by
świeciło słońce, wbrew nim i ich koszmarom. Czy pojmujecie
konieczność ich grozy – nie da się wyrazić tego co skrywają.

W moim świecie są dwa labirynty: dolny, który zastałem
i górny, który wykułem w grubych zamkowych murach. Mó-
wiąc ściślej, wykuli go bałkańscy chłopci. Czemu bałkańscy
– z tej prostej przyczyny, że nie grzeszą lotnością i nie mnożą
pytań, zaś ich zachrypnięta mowa obraca się nieodmiennie
wokół dziadowskich pieniędzy. Pewnie siedzą teraz w bałkań-
skich dolinach, rozprawiając chrapliwymi głosami o cenach świń

na targu. Rozlewają wino po brudnych ceratach i nic ich nie obchodzi, że przed dziesięcioma laty kuli tunele wewnątrz masywnych gotyckich murów, a poza tem – zdradzę wam to w sekrecie – tacy ludzie nie mają pamięci... a więc, że tak powiem – zatarły się ślady.

Lustra osadziłem sam, miałem dużo czasu. Jest jeden zakład w Hamburgu, gdzie umieją kryć srebrem tafle tak ogromne. Jednak nie jest to zwykła zwierciadlana powłoka. Lustra tego rodzaju, zwane weneckimi, rysują odbicie świata tylko z jednej strony; z drugiej są przezroczyste, ukazując obraz z lekka zbrązowiały, jak pod werniksami na dziełach holenderskich mistrzów.

Na czas robót usunąłem wszystkich z zamku. Kupiłem wielki dom nad Morzem Śródziemnym i wysłałem tam moją groteskową rodzinę wraz ze zgrają fagasów i kucharzy. Przewodził im Helmut Kroicinger – majordomus, konkubent Luisy, jej pan – mój następca. Aż dziw, że nie został jeszcze hrabią, to pewnie przez te pieniądze, które utopiłem... Roilo mi się, że wielkim zeppelinem odfruną do Ameryki. Lecz nie odfrunęli... Na koniec i tak wrócili. Więc uciekłem w labirynt – los zrządził, że do skona-

ROZDZIAŁ 2

Z trudem przychodzi mi mówić o Luisie. Jest w tej historii coś nieciąglego, jakby ktoś pociął ją nożyczkami i rozsypał. Pewne fragmenty łączą się w całość, inne nie... Wiele scen powtarza się po wielokroć – to utrudnia chronologię. Są też sceny najgłębiej przeżyte, niknące we mgle – kiedy je chwytam rozłączają się w palcach jak zbutwiała tkanina. Więc wspomnienia muszę wyrywać z siebie obcęgami i zawsze są jakby półmartwe, jakby cudze.

*

Piękne kobity zawsze mnie onieśmiały, zjawiał się paraliż myśli i dygot dłoni – lecz przy Luisie tak się nie działo, Luisa wypadało mi gardzić, chociaż nigdy nie śmiałem jej tego okazać. Była konkubiną Stryja Rudolfa, emerytowanego generała artylerii, który wyciągnął ją z jakiegoś burdelu i przywiózł do zamku jak księżniczkę. Zaś ja trafiłem tu w roli potomka tej pary, którego stryj przysposobił w odruchu zakłamanej dobroci. Z prawdziwymi rodzicami rzecz przedstawiała się jeszcze marniej: mój piękny ojciec z portretu był ponoć bezpłodny – jest więc logiczne, że wkrótce po moim poczęciu opuścił mą matkę, a ściślej wygnał z domu z jedną zmianą bielizny na ciele i ze

mną wewnątrz tego ciała, poczętym nie wiedzieć przez kogo, z pewnością też nie przez stryja, w którego zamku biedaczka mieszkała czas jakiś przed połogiem. Umarła przy porodzie; stryj oddał mnie na wychowanie niepiśmiennym wieśniakom i na wiele lat rozmyłem się w nicości.

Bieg czasu sprawił, że stryj zdzia dział i poznał Luisę. Wtedy zapragnął stworzyć rodzinę. Przypomni ał sobie o mnie, wy ciągnął z chlewa, przebrał w mundurek i wepchnął w salony. Myślę, że wszystkie diabły świata krztusiły się w rechocie, kiedy po raz pierwszy zasiedliśmy przy olbrzymim elżbietańskim stole, wspartym na ośmiu hebanowych nogach. Cóż to był za obiad: stryj w surducie zasiadł u szczytu stołu, ja pięć metrów dalej pośrodku prawego boku; na wprost mnie Luisa. Z lewej strony stryja, między nim a Luisą czuwał lokaj Helmut Kroicinger z liberii z buraczkowego sukna, zaś po stronie prawej – na przeciw lokaja – trzymany wciąż na stojąco w celu większego poniżenia jego roślej i utytułowanej osoby, tkwił specjalny guwerner sprowadzony z Berlina dla mej przyspieszonej edukacji. Człowiek ów, w trakcie posiłków korygować miał moje prostackie maniere, po obiedzie zaś ćwiczyć mój zapóźniony umysł. W samą porę, bo miałem już szesnaście lat i ledwo pisałem; za to liczyłem niezłe – posiadam w tym kierunku niejaki talent. Spełniał on też funkcję istotną dla symetrii przy stole, wedle stryja – zasady świętej.

Naukę zacząłem nazajutrz. Guwerner miał wzrostu dwa metry bez dwóch centymetrów i rysy rzymskiego patrycjusza. Stojąc przed maleńkim, śmiertelnie poważnym stryjem, pochyłał zły siałą czaszkę, kulił ramiona, zaś zwisające ręce spletał na wysokości przyrodzenia. Kiedy zostawał ze mną prostował się jak struna, a jego głos nabierał nerwowej wibracji, powstającej skutkiem zaciśnięcia dolnych partii gardła. Miał mnie za idiotę,

gardził mną i z trudem przełykał upokorzenie na jakie skazała go bieda. Pochodził ponoć z arystokracji duńskiej, a był teraz mistrzem małpy w zakiecie, zaś mnie oblepiała cuchnąca wata strachu – mówiłem z trudem krótkimi, niedokończonymi zdaniami, najczęściej od rzeczy, bo nie rozumiałem pytań tego wiecznie rozdrażnionego człowieka.

Po miesiącu stryj wezwał mnie do gabinetu. Stryj i Luisa siedzieli na rokokowej kanapce. Po obu stronach mieli symetryczne zwierciadła i symetryczne kinkiety, a nad głowami jeszcze jego pochylone lustro, w którym odbijała się moja nikczemna osoba. Stryj był mały i chudy, gesty miał prędkie, categoryczne, zaś czubek jego łysiny lśnił jak nikle na Bentleyu.

– Jesteśmy zawiedzeni – rzekł po znaczącym namyśle. – Tak Tobiaszu, nie znajduję właściwszego słowa, jesteśmy zawiedzeni i bardzo nam przykro. Zapewniliśmy ci najlepszego nauczyciela, nie masz w tym domu żadnych obowiązków, prócz jednego, który właściwie nie jest obowiązkiem, ale dążnością każdego miłującego Boga człowieka – masz się uczyć! A ty się nie uczysz, ty przynosisz nam wstyd, co gorsza nic cię nie obchodzi kłopotliwość naszej sytuacji, nie obchodzi cię, jakie to dla nas bolesne i niezastuzone – spojrzał wymownie na Luisę – że musimy się za ciebie wstydzić.

– Wystarczy, przerwała Luisa.

– Pozwól moja droga, że wyłożę rzecz do końca.

– Ośmieszasz się – syknęła mu w ucho scenicznym szep-tem, wstała z kanapki i wyszła trzaskając drzwiami.

Stryj stał się biały, a potem zielony, poruszał bezgłośnie ustami jak karp wyjęty z wody; w zmarszczkach na czole pojawiły się kropelki potu. Nagłe odejście Luisy odebrało scenie cechę najważniejszą – symetrię. Stryj umieszczony po boku kanapki był ze wszech miar bezradnym bęcwałem. Ale zebrał jakoś siły,

podniósł się i usiadł na środku sofy. Policzkom wróciła czerwień, ręka z wyciągniętym wskazującym palcem godnie powędrowała ku górze.

– Precz ty nędzniku! – won za drzwi!!!, wrzasnął, a jego twarz zrobiła się tak straszna jak żadna twarz na świecie. W sekundę potem byłem za drzwiami. Poszedłem do siebie, przebrałem się w łachy i spakowałem tobołek. Kiedy chciałem wyjść w drzwiach pojawił się Helmut Kroicingera.

– Panicz zostanie – powiedział... i zostałem, bez sprzeciwu.

Od tego czasu sposób mego nauczania uległ zmianie. Guwerner przestał o cokolwiek pytać, natomiast codziennie, starannie omijając mnie wzrokiem, wygłaszał kilka skierowanych do siebie samego wykładów, których nie słuchałem i nie rozumiałem.

Również pozycja dana mi w rodzinie zmieniła się nie do poznania. Co oczywiste, na skutek owego straszliwego wybuchu złości stryja – jako jego winowajca – utraciłem na zawsze przywileje synowskie. Stryj z uczuciem nieskrywanej ulgi polecił mi spożywać posiłki przy małym okrągłym stoliku, ustawionym specjalnie w tym celu w kącie jadalni. W miejscu, gdzie mi dotąd nakrywano postawił pękaty wazon bez kwiatów, od biedy imitujący zarys ludzkiego torsu. Guwerner kołysał się teraz bez sensu między stryjem a wazonem, pełniąc rolę przeciwwagi kompozycyjnej dla Helmuta Kroicingera. Luisa tępym wzrokiem omiatała wazon. Symetria, marna, bo marna, została ocalona.

Czekała mnie jeszcze rewolucja naukowa. Wszystko zaczęło się od tego, że po którymś z wykładów, długim i jak mi się wydało wygłoszonym z niezwykłym przejściem, mój guwerner zmienacka zapytał:

– Czy możesz powtórzyć o czym mówiłem?

Na pytanie nie byłem przygotowany, z wykładu nie pozostało mi w głowie nic prócz paru ostatnich słów.

– ...i taki był koniec Juliusza Cezara – powtórzyłem sła-
biutkim głosem.

– A w sensie ogólnym co zapamiętałeś?

– W sensie ogólnym, że Juliusz Cezar został zabity.

– A co z Republiką?

– Nie wiem, proszę pana.

– A kim był Juliusz Cezar?

– Nie wiem, proszę pana.

Zaległa cisza, guwerner znieruchomiał wpatrzony w nie-
widoczny punkt na białej ścianie... „Tak – Juliusz Cezar został
zabity”, wyszeptał i szybko wyszedł z pokoju.

Nazajutrz idąc korytarzem usłyszałem głośną rozmowę
w bibliotece. Zatrzymałem się przed niedomkniętymi drzwia-
mi. Miałem ich obu na wprost szczeliny. Mój guwerner stał jak
nigdy jeszcze skulony, zaś stryj krzyczał wymachując jakimś pa-
pierem:

– To jest umowa, słyszy pan – pańskie i moje słowo honoru.
Rzecz święta, chyba wyrażam się jasno – święta! Jak pan jako pe-
dagog i wychowawca może w ogóle dopuszczać myśl o zerwaniu
umowy – to wprost niepojęte! Pan chyba nie ma honoru... pan
nie ma szacunku dla swej osoby... Gardzę panem w najwyższym
stopniu! I proszę zapamiętać co powiem: jeżeli zaprzestanie pan
edukacji mojego bratanek zniszczy pana i zgniotę! Bo jest jeszcze
strona prawna, są zapisy. A gdzie tu napisano, że mój bratanek ma
być geniuszem, i to wedle pańskich kryteriów, wedle pańskiego
wizjonu!... No gdzie tak napisano?... Właśnie!

– Za pozwoleniem – odezwał się mój nauczyciel – jestem
dydaktykiem o najwyższych kwalifikacjach, proszę to wziąć pod
uwagę. Proszę też wziąć pod uwagę, że dotychczas obcowiałem

z umysłami o wielkiej lotności. Tępota pańskiego bratanka jest dla mnie okolicznością ponizającą. To właśnie proszę wziąć pod uwagę... Wypełniłem misję arystotelesowską, i to jako dydaktyk najwyższych kwalifikacji – to właśnie proszę wziąć pod uwagę... Cała ta sytuacja... jeśli weźmie pan pod uwagę... – bełkotał guwerner, a ja pojąłem, że ma w głowie pustkę nie mniejszą niż ja w jego obecności.

– Dosyć, pan się ośmiesza – przerwał stryj, a w tonie jego głosu zabrzmiała dzika radość – proszę wyjść i przez najbliższe dwa lata nie zjawiać się tu z równie niedorzecznymi pomysłami... tylko proszę nic nie mówić, ani słowa – odmaszerować!

Od tego dnia w sposobie mego nauczania zaszła kolejna rewolucja. Przede wszystkich guwerner przestał mnie w ogóle zauważać. Więc ja siedziałem przy biurku, a on stał przy oknie plecami do mnie i biurka. Ręce trzymał z tyłu, zawsze lewą ręką za nadgarstek prawej, zaś palce prawej dłoni miarowo kurczyły się i wyprężały, po czym co jakiś czas robiły suche „pstryk”, z którego doprawdy nic nie wynikało. Ale – byłbym zapomniat – była i dydaktyka, a raczej zdarzała się dydaktyka. Zdarzało się więc, że mój nauczyciel wyciągał z szafy atlas, otwierał w byle jakim miejscu, i starannie unikając patrzenia w moją stronę, rozkładał na biurku mówiąc: „Ameryka”, albo „Cieśniny Duńskie”, a ja po paru minutach powtarzałem „Ameryka”, „Cieśniny Duńskie”, i tak dalej, i tak dalej... Bywało też, że mówił:

– Proszę napisać trzysta razy słowo „żółw” – zapisywałem kartkę ciągiem kulfonów.

– Napisano – obwieszczałem wykonanie zadania.

– Więc proszę napisać trzysta razy słowo „konfiguracja”.

– Napisano.

– Więc jeszcze raz trzysta razy „konfiguracja”.

I pstryk, pstryk, a ja konfiguracja... konfiguracja...

I tak to jakoś wyglądało. Wcale nie była zła ta nauka, trochę nudna, ale za to wcale się go już nie bałem. Więc kiedy godzinami sterczał przed oknem, nie przychodziło mi do głowy nic prócz tamtego przejmującego szeptu: „Tak... Juliusz Cezar został zabity”.

*

Na Gwiazdkę stryj kupił mi czterotomowy atlas wykopalisk egipskich.

– Guwerner już się na ciebie nie skarży – rzekł pieszcząc dłońią skórzany grzbiet atlasu – wiedz chłopcze, że człowiek ma dobre i złe skłonności; spróbuj wytrwać przy dobrych – dodał po namyśle.

Stryj był wielkim znawcą starożytnego Egiptu, a wynikało to stąd, że każdą z dziedzin wiedzy pragnął poznać gruntownie, poczynawszy od źródeł. Zgłębiał więc historię sztuki, religii, cywilizacji i kultury materialnej, a także gospodarki i wojskowości. Nabywał w tym celu opasłe, wielotomowe monografie, boleśnie nudne i szczegółowe, po czym grzązł w nich nieodmiennie w połowie pierwszego tomu, a więc gdzieś u schyłku dziejów starożytnego Egiptu. Posiadał ponadto rozległą wiedzę anegdotyczną, gdyż jak to na ogół bywa, mierność umysłu godził z zaskakującą pamięcią do nieistotnych zdarzeń, nazwisk, koligacji – te zwłaszcza ukochał – bzdurnych historyjek i kwitujących je morałów. I wszystko to widział w oderwaniu, każdy fragment z osobna – istny plotkarski śmietnik. Był niezdolny do najprostszej syntezy, a jeśli już zdobywał się na jej pozór, to były to zawsze cudze myśli lub wyświechtane frazesy, które recytował z czcią liturgiczną, gdyż nawet do nich nie dorósł.